

Przedstawienie Pawła Miśkiewicza w Starym Teatrze
nie ma siły rażenia powieści Canettiego

Nakrochmalona spódnica



FOT. ARCHIWUM TEATRU

Spódnica jest niebieska, sztywno nakrochmalona niczym pas cnoty, przez który nie przecisnąć się żaden intruz. Jej zakładki nachodzą na siebie, układając się w niedostępny klosz, tak jak w metalowej konstrukcji noszonej przez niegdysiejsze infantki. Nawet gdy właścicielka spódnicy siada rozkraczając nogi, spódnica sztywno podąża za nią, niczym wierny pies. Teresa jest swoją spódnicą, banalnie skrojoną płachtą ciała, która zagarnia coraz większe przestrzenie.

Zagarnęła też przedstawienie Pawła Miśkiewicza na Scenie Kameralnej, spektakl oparty na powieści „Auto da fe” Eliaza Canettiego, w którym strona obyczajowa bierze górę nad istotą bólu bohatera. Takie przesunięcie akcentów sprawia, iż „Auto da fe” traci swoją siłę rażenia, choć tego, że przynajmniej pierwsza część spektaklu to świetna teatralna robota nie można reżyserowi odmówić.

Macki masy

Przedstawienie zaczyna się od wykładu wybitnego sinologa Piotra Kiena. Długo oczekiwany uczony, który z szacunku dla słowa nie ma zwyczaju publicznie występować, zjawia się w końcu na scenie, by wytłumaczyć zebrany czym jest masa, na czym polega jej rozrost, jak człowiek - do niedawna jeszcze osobne indywiduum - podlega jej atakowi i niepostrzeżenie trafia w środek jej oddziaływania, tracąc to, co indywidualne.

-Zawsze i bez wyjątku należy strzec się przed masą. Jest niebezpieczna, ponieważ nie ma rozumu - dowodzi Kien.

Za chwilę sam wpadnie w jej macki. Banal otaczającego świata wciągnie go niczym zachłanne bagno i doprowadzi do szaleństwa.

Na razie jest bezpieczny. Może skryć się w swojej potężnej bibliotece, przedstawionej na scenie przez Barbarę Hanicką za pomocą ogromnych, przesuwanych regałów, w neowym świetle sprawiających niesamowite wrażenie. Ale ziarno niepokoju zostało zasiane. Ile razy Kien zbliży się do książek, tyle razy zaczyna bić z nich jasny płomień - płomień mądrości tkwiącej w grubych tomach, a zarazem płomień zapowiadający tragedię.

Dwa światy

Świat doktora Piotra Kiena zostaje zagrożony, gdy w jego domu pojawia się Teresa. Potężna sylwetka Iwony Bielskiej kontrastuje z cherlawym ciałem bohatera. Grający go Jan Peszek reprezentuje subtelny świat ducha, któremu zagraża świat namiętnej materii w osobie jeszcze całkiem niewinnie zachowującej się służącej. Obydwoje aktorzy stworzyli naprawdę dawno nie widziany w teatrze znakomity duet (o zabarwieniu komediowym), który prowokuje do wybuchów śmiechu, raz po raz rozlegającego się na widowni.

Początkowo władczy i oschły Kien Peszka, człowiek żyjący od zawsze według z góry założonego porządku i kochający tylko książki, mimo całej swojej inteligencji daje się złapać na lep prymitywnej czułości Teresy. Kobieta - pozornie - okazuje ją też w stosunku do jego papierowych dzieci. Kiedy schowany za regałami obserwuje, jak ubiera ona rękawiczki do czytania książki, jak delikatnie kładzie ją na poduszkę, nie może zrobić nic innego, tylko się z nią ożenić. I tu popełnia największy błąd.

Scena ślubu i następującej po nim nocy poślubnej jest komediowym majstersztykiem. Zbudowany na opozycji teatralny świat Miśkiewicza nabrzmiewa wysuwanymi przez Teresę żądaniami w stosunku do męża. Wygłaszane przez nią sentencje, takie jak: „Ciągłe ruszanie książkom szkodzi”, „Pożyjemy, zobaczymy”, „Żona nie ma ani godziny spokoju, bo wciąż musi pa-trzeć, co robi mąż” - są zabawne. Jednak reżyser zostawił je tylko na tym poziomie, nie podszywając grozą, jaką zwiastują.

Świat płonie

Kien, opuszczając dom, styka się ze światem ludzi, którego do tej pory nie znał. Stworzony na scenie burdel o wielce znaczącej nazwie „Niebo” początkowo robi wrażenie swoją duszną, ale też nie dopowiedzioną do końca atmosferą, i muzyką, którą gra knajpiana orkiestra. Piękna jest tu naiwna bezradność Peszka w zetknięciu z banałem i zachłannością ludzi, których reprezentuje obrzydliwy garbus Fischerle (Piotr Skiba). Jednak w tym momencie

spektakl zaczyna się naprawdę dłużyć. Cwaniackie wyciąganie pieniędzy od bibliofila trwa w nieskończoność, przez co ginie przełomowy moment w spektaklu, prowadzący do szaleństwa bohatera. Kiedy spotyka on studenta chcącego zarobić na książkach, traci wiarę w człowieka, traci wiarę w to, co przeczytał, w to, co niosą wielkie księgi i słowa chińskich filozofów, nawet samego Konfucjusza, który odwiedził Kiena osobiście w jego bibliotece.

I tu dochodzimy do sedna sprawy, z powodu której spektakl Pawła Miśkiewicza nie ma tej mocy, jaką posiada książka Canettiego. I nie chodzi o wierność genialnemu pisarzowi, tylko o fakt, iż mamy tu do czynienia z jednostkowym problemem, który nie zostaje uogólniony. Na scenie zwariował Kien Peszka, podpalając siebie i bibliotekę, której pożar symbolizują płomienie pojawiające się w czytanej przez bohatera książce. A to przecież nie Kien zwariował, i nie przyczyniła się do tego krochmalona spódnica, jak mogłoby wynikać z przedstawienia, ale to właśnie zwariował świat, w którym wrażliwe jednostki już nie są w stanie żyć.

MAGDA HUZARSKA

WIDMO GŁODU

I PRAGNIENIA

Mentor duchowy Kiena, filozof Mong, mawiał: „Czynią, a nie wiedzą co czynią; mają swoje nawyki, a nie wiedzą dlaczego...”. Nawykami reżyserów pracujących na Scenie Kameralnej Starego Teatru stało się przygotowywanie niekończących się przedstawień. Siadając na widowni przy ulicy Starowiślniej mamy jak w banku, że spędzimy tu minimum pięć godzin. Jeszcze przed spektaklem widzowie przekazują sobie z ust do ust hiobowe wieści o tym, ile będzie on tym razem trwał, a mniej zapobiegliwi, którzy tego jeszcze nie zrobili, biegają do najbliższego sklepu, by zaopatrzyć się w coś do jedzenia i picia. Zgadza się z tym, że teatr nie jest tylko po to, by służyć przyjemnemu spędzeniu czasu, ale - na miłość boską - ma on sprawić przede wszystkim ból duchowy, a nie wyłącznie fizyczny.